Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 16. POZNAŃ, DNIA 18. KWIETNIA. **1842.**

Literatura zagraniczna.

Ueber den gegenwärtigen Zustand der böhmischen Literatur, und ihre Bedeutung, von Leo, Grafen von Thun. Prag 1842. 91 S. 8°.

Przez *prof. Purkiniego.*

(*Ciąg dalszy.*)

Ogólne humanistyczne starania, pod panowaniem Józefa II. powstałe, które język niemiecki, nie z chęci niemczenia, ale ponieważ on tylko wtenczas zdawał się jedynym zdolnym środkiem oświaty i wykształcenia, rozpowszechniały, wywołały prócz tego, że w ogóle zbudziły każdą duchową ruchawość, i w Węgrzech jako i w Czechach szczególną chęć pisania i w języku narodowym dla najbliższych duchowych i właśnie obudzających się potrzeb ludu, dzieł popularnych. Zawsze to bowiem lud był tą niwą, z której stósownie do czasowych potrzeb puszczała się literatura. Liczba literatów rozmnażała się powoli na osobną klassę i utwarzała nowe, wyższe literatury koło, które znów na massę ludu oddziaływało i nowe w nim zdobywało dla siebie pole.

Zajmującém jest dla psychologa śledzić postępy samowiedzy, czy to w jednostce, czy w ludzie, czy nakoniec w rozwijaniu się jéj u wszystkich narodów kuli ziemskiéj. Nigdzie to się nie pokazuje piękniéj i jaśniéj, jak w pierwszém rozwijaniu i rozkrzewianiu się literatury, czyli duchowéj działalności ludu. Tak widzimy literaturę czeską krzewiącą się z małych zaczątków, ze stolicy przez kraj cały; wnet przechodzi ona granicę i obejmuje zarówno sąsiednie Morawy, postępuje późniéj daléj do spokrewnionych Słowian w wyższych Węgrzech, i nareście do innych nieczeskich plemion słowiańskich: zyskuje czcicieli i przyjaciół. W odpowiednim stósunku rozszérzała się téż samowiedza narodowa.

Czechy, które po wojnie trzydziestoletniéj nie miały nawet miliona właściwie czeskiéj ludności, które nawet w rozkwicie swéj narodowości nie troszczyły się bynajmniéj o węgierskich i morawskich pobratymców, teraz we wszystkich tych częściach coraz bardziéj się skupiają i łączą, i możeby do tego przyjść mogło, żeby 9,000,000 ludności, należącéj do spólnéj narodowości, wyliczyć mogły. Aleć jeszcze późniéj wrócimy do tego przedmiotu, teraz postępujmy w uważaniu odradzającéj się czeskiéj literatury.

Łatwą dla autora byłoby było rzeczą, przy dokładnéj, jaką posiada, znajomości ludu czeskiego, przy łatwym przystępie do źródeł, wystawić nam obszerny obraz ostatków narodowości, pozostałéj jeszcze z dawniejszych wieków w czasach józefowskich, przyczémby nam odrodzenie się literatury i inne ruchy życia narodowego czeskiego mniéj zdawały się ciemnémi. Powinniśmy téż jeszcze oczekiwać takiego obrazu czy od niego samego, czy od innego niemniéj zdolnego pisarza. Zdaje nam się, że w pierwszym okresie aż nadto kładzie wagi na prace Dobrowskiego. Są one prawda na polu czysto naukowém bardzo ważne, lecz byłyżby one wywarły jaki wpływ na pospolite życie duchowe ludu, gdyby razem z niémi inne praktyczniejsze dążności nie były się zjawiły? Głównem zadaniem pierwszego okresu było, co następuje. Przedewszystkiém trzeba było język, przez uczniów jezuickich popsuty, powróceniem do starych wzorów 16go wieku i korzystaniem z czystości pozostałéj jeszcze w ludzie, zrestaurować, i na zdatne duchowego, chociaż tylko popularnego porozumiewania się narzędzie, zamienić. Tego dopełnili wiernie Prochazka, Krameryusz, Thomsa, Pelcel, Tham i i., i ichto istotnie imiona tę epokę charakteryzują. Wyniesienie literatury do wyższéj estetycznéj sfery, zawdzięczamy przedewszystkiém Puchmajerowi, obu Nejedlim, Hniewkowskiemu, Jungmanowi i i. Dobrowski sam wtym czasie jest jeszcze

niemieckim, czyli raczéj europejskim uczonym, który z genialną dzielnością zatrudnia się czeską i w ogóle słowiańską grammatyką, historyą, starożytnościami i etnografią. Autorstwo jego sięga więcéj po za granice Czech, w pobliżu działa raczéj osobistym wpływem, przez rozmowę, w któréj często połyskują iskry najwznioślejszych myśli narodowych, przez korrespondencyą, prowadzoną w części w języku czeskim (któréj zbiór jeszcze dotychczas bez użytku leży zagrzebany w czeskiém Muzeum narodowém), przez budzenie młodego pokolenia, które uwielbia czcigodnego, młodzieńczym zapałem natchnionego starca. W tém wszystkiém nie może on zataić jakiegoś ironicznego humoru, z którym spogląda na zawiązki odrodzenia, nawet przeciw nadzwyczajnym wypadkom powstaje (jak n. p. przeciw autentyczności królodworskiego rękopisu, sądu Libuszy) i z trudnością tylko w ostatnich latach życia zaczyna wierzyć w możność zbliżającéj się rzeczywiście regeneracyi. Dobrowski należy bardziéj do drugiéj epoki. W piérwszym okresie trzeba go uważać za ziarno drugiego, zawarte w twardéj niemieckiéj łupinie. Mężowie następującego okresu, kruszą łupinę i ziarno do życia wydobywają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

POEZYA.

O JAK TO WESOŁO.

O jak to wesoło, o jak to przecudnie,
Porywać za lutnię, gdy nikt jéj nie słucha;
O jakże zachwytnie, o jakże ułudnie,
Gdy z piersi żar uczuć daremnie wybucha,
Gdy z łona wieszczego pisklęta, piosenki,
Na obszar bezdusznéj krainy wylecą,
I piersią sierocą żałośne podźwięki
Zawodząc, od gniazda, od rodzin ulecą!
O biada pisklętom, o biada ptakowi,
Co gnieździ na ziemi niewdzięcznéj, na puszczy!
O biada piosenkom, o biada wieszczowi,
Co śpiéwa dla uszu kamiennych, dla tłuszczy!
O biada wieszczowi, gdy w gronie słuchaczy
Nie pojmie ni jeden piosenki śpiewanéj:
Gdy zachwyt szaleństwem, a uśmiech rozpaczy
Zda mu się grą duszy marzącéj, pijanéj.
O biada wieszczowi, gdy słuchacz piosenkę
I myśl jéj i piękność podziwia harmonii,
I wargą natchnioną odśpiewa podziękę
Rozumnéj, rozważnéj, szyderczéj ironii!
O bracia śpiewacy! uderzmy lutniami
W te piersi łechtliwe, szalone, ogniste,
Co chcą się nakarmiać dzikiemi piosnkami;
W te duchy piekielne, nie dobre, nie czyste,
Co lubią przebywać z górnemi ptakami
W krainach obłocznych, gdzie wichry wieczyste;
Co lubią krew spijać pełnemi szklankami,
A potém miéwają widzenia ojczyste!
O bracia śpiewacy, przestrójmy swe lutnie,
Nie nućmy tak dziko, morderczo i smutnie;
Nowemi akordy po strunach przebierzmy,
Hymn lekki, weselny, godowy uderzmy.
O jak to wesoło, o jak to przecudnie,
Godowych piosenek z pod serca dobywać!
O jakże zachwytnie, o jakże ułudnie,
W takt światu palcami krwawemi przegrywać!
Po grobach, po wale, co wczoraj był szańcem,
Skocznemi stopami krew skrzepłą zdeptywać!
Salony rozświetlać więziennym kagańcem,
Szalonym, zalotnym weselić się tańcem.
Mogiły rozpląsać, szczęk kajdan rozśpiewać,
Laurami, mirtami, łzy z oczów pozwiewać,
Na larwę nadeptać, z larwami wywijać,
Do trupów, do czaszek, puharem przepijać,
W przelotnym roztrącić dwie larwy tańcu,
Co wsobie utkwiły bagnety na szańcu,
Sztyletem takt huczny po strunach wybijać!
O jak to wesoło . . . —

DO F. Z.

Gdzieżeś, gdzieżeś przyjacielu!
Cichy, błogi marzycielu,
Na którego niegdyś łonie
Pałające kładłem skronie
I jak z piersi macierzystéj,
Ssałem pokarm wiedzy czystéj?
Czy pamiętne są ci jeszcze
Słodkie chwile, życia druchy,
Co rzeźwiły nasze duchy,
Jak wiosenne ziemię deszcze?
Czy znalazłeś już kochankę,
Tę marzoną wciąż niebiankę,
Którą widząc w ideale.
Darmoś stęskniał w lubym szale?
Czy pogardzasz jeszcze ziemią?
Czy twa dusza się wyrywa,
Tak jak dawniéj, z objęć świata,
Roztęskniona gdzieś tam lata,
Co już język nie nazywa,
A najczystsze myśli cienią?
Czyli kochasz jeszcze gwiazdy?
Których nie chcąc śledzić jazdy,
Tylko wznosząc swe ramiona,
W chwilach cierpień i zachwytu,
Wszystkie, wszystkie, z niebios szczytu,
Tak przyciskałeś do łona!

Wspomnienia z mych podróży.

SCENY OBYCZAJOWE.

(Przejażdżka po Praterze.)

(Ciąg dalszy.)

„Z kim to tam rozmawia książe Paweł?“ zapytała przymrużając oczy hrabina Matylda, barona de T. — „Z dość przyzwoitą osobą! z hrabiną Wą.... Nie jest szlachcianką cesarstwa, ale jednak z dość dobrego pochodzi domu! Jéj wuj był królem... (*)

Damy kiwnęły od niechcenia głową na tę odpowiedź, jakby przebaczając księciu Pawłowi, że śmiał zagadać do osoby, w prababce któréj nie kochał się jego pradziadek.

W loży nieco odmienną prowadzono konwersacyą... Księżna M., elegancko rozparta w najwygodniejszém miejscu, przerywała czasami dość żywym głosem poważne milczenie otaczających ją panów. — „Wiesz książe!“ mówiła do stojącego obok młodzieńca, „że ten głupiec Balzak, którego pare razy przyjęłam w moim salonie, ośmielił się przysłać mi z Paryża swój najnowszy romans, i to jeszcze na żółtym papierze drukowany. Czy kto słyszał coś podobnego? . . .“ „Zapewne (odezwał się dowcipny hrabia S., któren właśnie wchodził wtedy do loży), po Paul de Koku Balzak mdłym się wydawać musi!“

Księżna obróciła się żywo, i miała coś odpowiedzieć, ale ujrzawszy twarz spokojną i piękną węgierskiego magnata, przygryzła sobie wargi, i rzekła z udaną uprzejmością: „Nie sądziłam Was w Wiedniu, Mości hrabio! Jak zdrowie hrabiny? Czy jest przytomną wyścigom?“ A odwracając się do sąsiadki, dodała cicho: „Nienawidzę tego Węgra! ale mąż mój...“ Hrabia na grzeczność grzecznie odpowiedział. „Opuściłem dziś zrana dopiero Presburg, aby korzystać z wolnéj chwili od obrad i zabrać moją żonę z Wiednia... Niech przynajmniéj zobaczy ostatnią sejmową sessyą.“

„I panowie powinnibyście nas zaszczycić swoją przytomnością na tę finalną uroczystość,“ dodał ironicznie, obracając mowę do kilku młodych magnatów, motylujących około wiedeńskich piękności. Niektórzy z nich upiekli raka, inni się skrzywili, inni skłonili głowy, na znak, że czują słuszność uwagi i szanują tego, co ją udziela.

Hrabia pomówił dworsko z Damami, pokręcił kruczego wąsa, skłonił się wszystkim od niechcenia, i opuścił lożę, a z nim kilku Węgrów z niéj wyszło.

„Niesmaczny to kąsek z tego S. wraz z jego przemysłowemi zakładami, spłaconemi projektami, budowlami dróg i mostów, i wszelkiemi filantropicznemi zamiary“; rzekł jeden z panów austryackich, gdy już hrabiego S. pomiędzy nimi nie było. — „Masz słuszność,“ dodał drugi. „Na co to się mieszać dobrze urodzonemu człowiekowi w te pospolite zatrudnienia?“ — „Moi panowie,“ odrzekł dobitnie pewien Węgier, „nie mówcie proszę tak lekko o najzdatniejszym człowieku królestwa.“

„Mój mąż bardzo ceni hrabiego S.,“ dodała ministeryalnym tonem księżna M.

Za baryerami odmienne zformowały się grona, i o czém inném rozmawiano.

Z powozów wyglądały, wspinając się na palcach, żony i córki bogatych bankierów, kupców, rękodzielników, zajęte wielce swoją toaletą, śledzeniem mód nowych i zapatrywaniem się na *maniery* osób z wyższego świata. Tuż około zakresu wyścigowego, z jednéj strony trzymało się pod ręce grono rzemieślników, świątecznie ubranych, opowiadających wypadki wczorajszego balu u Szperla, palących cygaro i dających sobie Rendez-vous w Zielonym ogrodzie, gdzie dziś Sztrauss grać będzie. Opodal od tego szczęśliwego wiedeńskiego ludu stało kilka osób, z różniącym się od innych obliczem. Marsowe twarze, sążniste wąsy, gęsty zarost pod brodą, bardziéj zaniedbany krój odzieży, nadawały im zupełnie odrębną cechę. Pomiędzy niemi rozprawiał dość głośno, krępy, otyły mężczyzna, z śmiałym i surowym wzrokiem, z silną pięścią i z rezolutną miną. Inni słuchali go w milczeniu. — „Zostawmy tych paniczyków i te paniątka! Niech się wiecznie napawają miłym kurzem Prateru. Zostawmy i te naszą magnateryą, co małpuje ich zniewieściałe zwyczaje, i te nasze kraśne Damy, których czerstwe lica w tak złém sąsiedztwie, przy wybladłych, jak wymoczony stokfisz, niemieckich twarzach! *I sem* ruszajmy odwilżyć naszym dobrym tokajem nasze gardziele po téj piekielnéj suszy. Nie dla nas te zabawy panowie! I Węgier umie hasać na gniadoszu; ale milsze nam od tych sztucznych figlasów nasze góry, nasze winnice i nasze żyzne Tamy nad Dunajem! Jedźmy, gdzie nas wzywa obowiązek! *do Presburga panowie!* a pilnujmy się *bassa teremte*! aby nam butów nie uszyto!“

(*) Historyczne.

„Dobrze mówi nasz Dehak," zawołali wszyscy: „on zawsze się w miejscu odezwie. Idźmy za jego radą. Te szumne zabawy nie dla nas biednych! Niech panowie tracą pieniądze i z pustą sakwą do domów wracają. Nam zasie! Nam *praca rąk* i *umysłu!*"

„Patrzno Dehak! oto idzie hrabia S. i mile nas pozdrawia. W górę czapki bracia!" — „Zwolna! zwolna panowie!" rzekł Dehak; „wstrzymajcie zbyt gorące wynurzenia przychylności; z panami ostrożnie; szanujmy hrabiego, że dopełnia obowiązków, jakie nań położenie wkłada. Ale nie przeto mamy go ubóstwiać. My biedacy, zanadto skorzy jesteśmy do pomiłowania tych, co nam podają rękę. Ale przekonajmy się wprzódy, czy to bratniego uścisku, czy poręcza do sławy i potęgi ta ręka szuka."

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZBIÓR KRYTYCZNY
HISTORYI LITERATURY POLSKIÉJ

przez

M. Wiszniewskiego.

3 tomy. Kraków 1840—1841.

(*Dalszy ciąg.*)

Podania o Leszkach, Ziemomysłach, Ziemowitach i Piaście.

Podania o Leszkach, Piaście i t. p., zachowane nam w kronice Wincentego syna Kadłubka i Marcina Gallusa, nie mają żadnéj historycznéj wartości. Są to bajdy. — „A szczególniéj język, którym mówimy, „jest owych zapadłych wieków zabytkiem i świadkiem." Dzisiejszy język polski już nie jest ów szorstki, którym mówili pogańscy Polacy. Znaczna różnica zachodzi między dzisiejszym językiem polskim a polszczyzną z drugiéj połowy XIVgo wieku. Czy tato polszczyzna nie różniła się od polszczyzny przedchrześciańskiéj, nie umiem powiedzieć. Jednak trudnoby utrzymać, żeby się język żyjący w przeciągu cztérech wieków nie odmieniał. — Autor, kończąc o téj piérwszéj (?) epoce, pisze: „Szafarzik w drugiéj części „Starożytności słowiańskich, w któréj o zwyczajach, „obyczajach, publiczném i domowém życiu, religii, ję„zyku i kulturze Słowian mówić obszernie zamierzył, „rzuci światło i na Polskę owych wieków." Zobaczymy. — „Druga epoka idzie od r. 960 (? 968) do „1400, od wprowadzenia religii chrześciańskiéj do „założenia akademii krakowskiéj, statutu wiślickiego „i końca XIV w." „Jestto walka (!) słowiańskiéj „z łacińską chrystyanizmu zachodniego kulturą. W téj „epoce młoda, (!) niedojrzała (!) jeszcze, nierozwi„nięta (!) oświata słowiańska, *musiała* iść w zapasy „z nauką zamarłego Rzymu," i t. d. Pięknie brzmiące to słowa, ale szkoda, że to tylko domysły. Zkąd takie dokładne wiadomości o téj walce, o owéj oświacie słowiańskiéj, że była młoda, niedojrzała jeszcze i nierozwinięta? — Nie mogłem dotychczas nic pewnego o tém uchwycić. — „Ta epoka," według mniemania autora, „dwa wbrew sobie przeciwne obejmuje zda„rzenia: upadek literatury polsko-słowiańskiéj i krze„wienie się literatury polsko-łacińskiéj, pod cieniem i „opieką kościoła." Jak można mówić o *upadku* literatury polsko-słowiańskiéj, nie wiedząc nic o jéj wzroście. — Autor zaś do owéj mniemanéj literatury tak mocno przylgnął, że się o niéj nagadać nie może. „Piérwsza," (t.j. literatura polsko-słowiańska), — tak się autor daléj odzywa — „jako ściśle z religią Sło„wian spojona, doznaje wzgardy i prześladowania. „Poniżona Muza słowiańska, unikając książęcych ko„mnat i dworów Supanów, kryje się po ustroniach, „tylko pod strzechą wieśniaczą przytułek znajduje i „przychylne sobie spotyka oko i t. d." (str. 23.) Zkąd tak dokładne wiadomości? Postaci wiele, wątku mało, mówi Jan Kochanowski. Zabawiwszy się autor dosyć długo nad ogólném kreśleniem drugiéj epoki piśmiennictwa polskiego, idącéj od r. 960 (!) — 1400, (str. 22—31) o któréj, mówiąc prawdę, nie zbyt wiele wiemy pewnego, daje nam wyobrażenie o następujących siedmiu epokach literatury polskiéj (str. 31—37). Rzuciwszy okiem (str. 38. 39.) na wszystkie dziesięć epok, i złożywszy na str. 34—45. niektóre dobre pomysły, zapełnia 52 stron (45—97) spisywaniem „nie„odszukanych albo w rękopismach dotąd ukrytych" pism, tyczących się historyi polskiéj, po większéj części napisanych przez Polaków. Umieszczając tytuły tylu pism historycznych, autor miał podobno na myśli (por. przyp. na str. 99), pobudzać czytelników niniejszéj książki do odszukiwania owych dzieł i podawania bliższéj o nich wiadomości. Takowe życzenie autora nie spełzło też na niczém; bo od r. 1840 niejedno z wspomnianych tam dzieł z pod prassy wyszło. Układając ten spis bibliograficzny — któryby drobnémi głoskami powinien być drukowany, aby tak obszérnego miejsca nie zajmował, — autor ani ściśle się trzymał chronologii, ani nam wszędzie powiada, gdzieby się ten i ów rękopism znajdował, albo jeżeli jemu to niewiadomo, zkąd się dowiedział o eksysten-

cyi takiego rękopismu. Przypominam tu jeszcze, że „nakoniec *historya wojny Polaków z Ottomanami,* po „słowiańsku“ nie eksystuje; doniesienie o znalezionych niby na początku r. 1838 w grobach monastéru czernogórskiego rękopismach, jeżeli się nie mylę, w Journal des Débats uczynione, jak się późniéj wydało, przez jakiegoś tam nieznajomego zmyślonem było. — Ukończywszy ów spis rękopisów, autor przystępuje do źródeł historyi literatury polskiéj (od str. 99—163). Wypisuje tu *w całości* tytuły dzieł, które dla niego „były źródłem wiadomości, pobudką do „dalszego szpérania, lub skazówką, gdzie czego szukać należy,“ wyszczególniając treść i osądzając ją. Przytoczyć źródła, z których czerpał, jest powinnością historyka. Taki wykaz źródeł, stósownie do ich liczby, w dziełach podobnéjże treści, skromne zajmując miejsce, zwykle drobnémi czcionkami drukuje się; skrócone bywają tytuły, szczególnie dzieł powszechnie znanych, albo takich, które, choćbyś też nie znał całego szumnego tytułu, łatwo znajdziesz. Tu na przykład tytuł dzieła Nakielskiego „*Miechovia,*“ ledwo nie całą stronę 104ta zapełnia! Co się tycze ocenienia dzieł przez autora czytanych, o ile takowe mi znane, prawie zupełnie zgadzam się z nim. Najlepiéj mi się podobało dobitne zdanie jego o dziele Mochnackiego. Niemniéj dobrze sądzi o Ossolińskim. Twarda to sztuka, owe jego wiadomości historyczno-krytyczne, w których o krytykę bardzo trudno. A styl jego, jaki szumny, nastrzępiony! Lecz o obrazie historyczno-statystycznym miasta Poznania przez Józ. Łukaszewicza zdał niedokładny sąd. Dzieło to, stanowiące epokę w historyi drukarń poznańskich — bo nikczemniejszego druku i brudniejszego papiéru za naszych dni nigdzie nie widać — przedstawia nam niezgrabnie sklejony obraz miasta Poznania. — Na stronie 165 autor zabiéra się do skreślenia piérwszéj epoki. „*Wieki przedchrześciańskie,*“ otóżto huczny napis następującego rozdziału. — Tocto epoka, o któréj autor na str. 21 napisał: „dziwić się raczéj należy, że nam „tyle z czasów przed Mieczysławem I. zachowało się.“ Zobaczmy ile owo „tyle“ w sobie zawiera. Mówi autor (str. 165—177) o pogańskich Słowianach w ogóle, utrzymując słusznie, że nie byli dzikim narodem. Lecz tu autor prawdę z fałszem miesza. Tak n. p. (str. 166) nazwiska szlacheckich herbów polskich mają podług jego mniemania, „jakiś niewyjaśniony dotąd związek „z teologią słowiańską;“ chociaż to prawda niezaprzeczona, iż herby szlacheckie dopiéro długo po zaprowadzeniu chrześciaństwa w Polsce powstały. Pogańskim Polakom o takich konceptach ani się śniło. — „Południowi Słowianie nucili sobie piosnki o wojnach „Alexandra W., o jego listach i przywilejach, których „się nauczyli od starożytnych narodów: Traków, Da„ków, Getów i Sarmatów.“ (str. 167.) Wypisał autor takie dziwactwa z historyi polskiéj Bandtkiego; w przypisku 4tym zaś dodaje: „nie powiada wszakże Bandtkie, „gdzie to wyczytał.“ Dla tego téż, że Bandtkie nie podał źródła, zkąd wiadomość tę wyczerpnął, powinienby był autor ów niedorzeczny domysł pominąć. — „Znalezione bożyszcza Obotrytów z bożnicy retrejskiéj „nad jeziorem Tolenca w r. 1771. stały się utwierdza„jącym dowodem tego, co Dytmar o napisach na po„sągach słowiańskich powiada,“ pisze autor w przypisku 7ym na str. 167. Dawno już dostatecznie dowiedziono, że owe przesławne bożyszcza w tym samym czasie, jak je nibyto znaleziono, przez jakiegoś złotnika zrobione zostały. Dobrze objaśnił to oszukaństwo Barthold w pierwszym tomie historyi Pomorza i Rugii r. 1839. — Umieszcza autor na str. 168—170 list Kucharskiego, gdzie się ten z swoją niekrytycznością dzielnie popisuje, i t. d. — Rozpisawszy się autor o Słowianach w ogólności, nareście wraca do Polaków, powiadając (str. 177): „jako Polacy dopiero „na dwa wieki przed Mieczysławem z pośród sło„wiańskich ludów wynurzyli się, i w osobny skoja„rzyli się naród, tak też i literatura ich (to jest po„dania historyczne, pieśni religijne i świeckie, prawa „zwyczajowe i teologia) była wspólna z innymi Sło„wianami, była słowiańską.“ Całe to zdanie tylko za prosty domysł autora uważać można. O Polakach przed Mieczysławem nic pewnego nie wiemy. Czasu, w którym Polacy jako osobny naród wystąpili, oznaczyć niepodobno. Autor sam przypuszcza (str. 178), że „czas zatarł ślady téj (t. j. słowiańskiéj, przed„chrześciańskiéj) literatury pismem nieujętéj; tylko to „wiemy o teologii i prawach, co w greckich (!) wy„czytujemy pisarzach, i co się zostało z pieśni reli„gijnych, pogrzebowych (!) i weselnych, (!) które „przez całe (!!) tysiąc lat między ludem się zacho„wały. Te pieśni składające literaturę polsko-słowiańską „w ciągu dziesięciu (!) wieków *rozmaitym przekształce„niom uległy....*“ Więc z mniemanéj literatury polskiéj przedchrześciańskiéj *nic pewnego* nie pozostało. Autor zaś inaczéj sądząc o wspomnianéj literaturze, usiłuje choćby tylko kilka słów pozostałych z pogańszczyzny polskiéj wyśledzić, i pochwyciwszy coś takiego, podaje nam (str. 178): „Baszkon zachował nam pamięć „pieśni świeckiéj, jak się zdaje, z czasów pogańskich, ale „w przekładzie łacińskim. Jeden z niemieckich książąt za„chwycony pięknością Wandy, córki Krakusa, śpiewał:

„iż swemi wdziękami podbiłaby morze, ziemię i po-„wietrze: Wanda mari, Wanda terrae, Wanda aëri „imperet.“ Zobaczmy, ile prawdy kryje się w téj wiadomości. Naprzód nie sam tylko Baszkon słowa owe nam zachował, wypisał je z pierwszéj księgi kroniki uchodzącéj pod imieniem Kadłubka; temu zaś ów tyrannus Alemannorum z nazwiska jeszcze nie był znany. Powtóre, ani wKadłubku, ani w Baszkonie nie masz wzmianki o *wyśpiewanych* przez W. P. Rytygiera słowach. Powtóre, nie powiadają, w jakim języku Rytygier wyrzekł owe słowa. Najpodobniejsza do prawdy, że autor pierwszéj księgi kroniki Kadłubkowéj, sam one słowa Rytygierowi w usta włożył.. Bo jak panna Wanda, nibyto córka ś. p. pana Krakusa, jest osoba zmyślona; tak też pan Rytygier jest pochodzenia podejrzanego. Ztąd wypada, że autor z naszymi kronikarzami powinienby ostrzéj się obchodzić, a gadułom nie wszystko wierzyć. Rozdział ten kończy na dosyć oryginalnéj wiadomości, że „Owidyusz „Nazon na wygnaniu na Polesiu wiersze polskie skła-„dał.“ Dziwić się trzeba, że autor jeszcze w r. 1840. takową bazgraninę Stryjkowskiego i podobnych jemu łatwowiernych pisarzy powtórzył. — Przejdźmy do drugiéj epoki, idącéj od r. 965.—1400. W pierwszym rozdziale pod napisem: „*Historya literatury polsko-słowiańskiéj*,“ czytamy na str. 181 i d. wiele o literaturze polskiéj przedchrześciańskiéj, będącéj dla nas nieznajomką; potém mówi autor między innemi w ogóle coś o pieśniach ludu słowiańskiego, przytacza wydania takich pieśni do r. 1839 wyszłe, wspomina o Chodakowskim, który bujał sobie prawie po całéj Słowiańszczyznie, a wracając znowu do pieśni ludu słowiańskiego, pisze (str. 192): „ta.... literatura, jest wymowném i najwierniejszém „*narodu* i *czasu* zwierciadłem;“ to nie ze wszystkiém prawda, bo ta literatura jest niejako zwierciadłem samego tylko ludu wiejskiego, będącego autorem jéj. „Jest obra-„zem, wszystkie właściwości kraju, klimatu (?), religii, „rządu (?) i losów (!), których *naród* doświadczył, odbija-„jącym. W nich starożytne prawa, zwyczaje i ustawy, „wiara i przesądy, nałogi i upodobania, wiernie się prze-„chowały.“ Bez wątpienia przytoczone zdanie autora obeznanemu z treścią pieśni ludu słowiańskiego zbyt przesadzoném się wyda. Trafniéj utrzymuje autor (str. 192. 3) o pieśniach gminnych, że „żadne kun-„sztowne wyobrażenie nie rzuciło na ten szczéry i „prosty obraz fałszywego światła i t. d.“ Wcisnęło się też do tego rozdziału kilka uchybień, n. p., że w Niemczech górnicy są poetami (str. 183), że pewna Polka pod zmyślonem nazwiskiem Talvj wytłumaczyła pieśni ludu serbskiego (w Turcyi), gdyż to Niemka, córka pana Jakob, byłego prof. przy uniwersytecie charkowskim. — Zajmujące kreśli nam autor na str. 197 i d. pod rozdziałem „*O poezyi, a mianowicie o pieśniach*,“ wiadomości, jakto pieśni ludu na jaw powychodziły, i słusznie przytém uważa, że „takiéj (t. j. pieśni ludu) „literatury chronologicznéj historyi napisać niepodo-„bno.“ Powiedziawszy nam autor, jakim sposobem pieśni ludu powstają, powinienby był dać wyobrażenie o duchu pieśni ludu polskiego, wyszczególnić wszelkie ich rodzaje, i wykazać, w czém się pieśni ludu polskiego różnią od pieśni pobratymczych, w czasie pisania téjże historyi drukiem ogłoszonych. Toby się prędzéj spodziewać można wyczytać w niniejszéj książce, aniżeli tyle mylnych zdań, znajdujących się na str. 198—216. Mylnie zdaje się autorowi, jakoby „dla większéj obfi-„tości piosnek, nawet śpiewów historycznych na Rusi, „jak na Polsce, Rusini (t. j. Małorossyanie) doszli „byli kiedyś w czasach przedhistorycznych do wyższéj „oświaty.“ Co się działo w czasach przedhistorycznych, o tém nic nie wiemy. Przyczyną większéj obfitości pieśni historycznych ludu ruskiego, jest może większe usposobienie poetyczne tego ludu i smutne losy, których doznawał. Z resztą historyczne dumki ruskie nie tak bardzo odległych czasów sięgają. Mniema autor (str. 200), że: „z pieśni polsko-słowiańskich jedne, „a takich najwięcéj, z czasów pogańskich między lu-„dem wiejskim się zachowały, jak n. p. pieśni we-„selne.“ Przeczytawszy wszystkie dotąd drukowane pieśni ludu polskiego, ani śladu pogańszczyzny w nich wypatrzyć mi się nie zdarzyło. Niemniéj mylném jest zdanie autora (str. 201), że „drugie (t. j. pieśni ludu „polskiego) dochowały się do naszych czasów w tłó-„maczeniu łacińskiém i znajdują się w kronikach Gal-„lusa, Mateusza herbu Cholewa, Wincentego syna Ka-„dłubka i Baszkona. O niektórych zaś tylko wzmian-„kę w kronikarzach znajdujemy.“ Rozczytawszy się w owych pisarzach, *prawie* tam nic takiego nie znalazłem, coby za tłumaczenie pieśni ludu polskiego uchodzić mogło. „Między 965 (!) a 1040. jeszcze „lud polski nucił sobie dawne piosnki: śpiewali kmie-„cie strzegący zamków pogranicznych za Chrobrego, „śpiewano romans o Popielu, śpiewały piosnki dzie-„wczęta i dopiero dla śmierci Chrobrego umilkły.“ Nikt nie zaprzeczy tego, że wszystko, co autor nam tu opowiada, staćby się *mogło*, lecz za prawdę historyczną miane być nie może, bo wiadomości te pochodzą ze źródeł mętnych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka słów o artykule: *O stanie literatury polskiéj w w. ks. poznańskiém*, umieszczonym w Nrze. 13. Orędownika. (*)

Początkowa redakcya Tygodnika literackiego z tak sprzecznych złożona była żywiołów, iż niepodobna, aby w tym składzie ostać się mogła, a rozdzielenie się jéj zrodziło nowe czasopismo, to jest Orędownika. Odtąd oba te pisma niczém już nie związane, w swym przyrodzonym żywiole wolniéj oddychać i postępować zaczęły. Tygodnik doczekał się najświetniejszych chwil, jakich może żadne inne pismo peryodyczne polskie nie dożyło. Orędownik zaś wystąpił jako pokutujący duch tych zasad, które w upłynionych wiekach rządziły ludźmi, a dziś na szczęście w grobie spoczywają. Ztąd téż Orędownik nie mógł sobie zjednać spółczucia, a najlepszym tego są dowodem, ciągłe uskarzania się na niego pism wychodzących tak w kraju, jak i za granicą. Tymi zarzutami spowodowany, wystąpił teraz Orędownik z ogromnym manifestem w Nrze. 13. i następnych pisma swego w artykule: „*O stanie literatury polskiéj w wielkiém księstwie poznańskiém*,“ gdzie usiłuje swe zasady i dążności objawić, i nieprzyjaciół swych pokonać. — Niepotrzeba więc nam także wszystkich arkuszy Orędownika przeglądać, aby dojść, o ile uskarzania te są słuszne, i dosyć jest manifest ten z uwagą odczytać.

We wstępie zastanawia się najprzód Orędownik nad uśpieniem piśmiennictwa naszego przed rokiem 1830. i nad następnym literackim ruchem w prowincyi naszéj, i dodaje: „Czego szkoły bezpośrednio zdziałać nie mogły, co nie postało w głowie żadnego *towarzystwa ani obrad sejmowych i sejmikowych*, to zdziałały dwa na pozór nieznaczne przedsięwzięcia: wydanie „Pamiętników Paska“ w Poznaniu i utworzenie pierwszego czasopisma wielkopolskiego „Przyjaciela ludu.“ A więc według zdania Orędownika, roztlenie wielkiéj iskry życia narodowego dzieje się tylko z tak ważnych powodów, jak n. p. czy na dworze deszcz pada, lub jest pogoda? więc to świetne dzisiaj stanowisko literatury polskiéj, ten oddźwięk jéj dziejów z katedr najznakomitszych uniwersytetów Europy, może także zawdzięczamy tylko ukazaniu się Pamiętników Paska lub Przyjacielowi ludu. Bo jak przypuszczać nie mogę, aby przeważne wystąpienie jednego ludu na kartę dziejów lub literatury z przypadkowych powodów dziać się miało, tak i tego nie sądzę, aby w tém ogólném życiu każda osobna prowincya odrębnie wystąpić miała, lub oddzielnego potrzebowała popędu. Jeżeliby zaś to prawdą być miało, co utrzymuje Orędownik, wtenczas lękać się rzeczywiście trzeba o skutku żywiołów wywołanych przez to pismo, osobliwie zaś pomiędzy tak lekkomyślnym ludem, za jaki uważa Orędownik Wielkopolanów, tak bowiem mówi o nich: „Utrudzone początkowo nabywanie dzieł za granicą wychodzących, dziwnie zaostrzało apetyt i było podobno najdzielniejszym popędem do czytania. Wylęgłe na obcéj ziemi stronnictwa, przeniosły swe harce z pola historycznego na polityczne; licznych i u nas, jak każda nowość, zyskały zwolenników, rzucających się w zdaniach więcéj z imienia i pozoru, niż z rzeczy saméj, któréj istota w niczém się nie zmieniła i zmienić niemogła.“ Wielkopolanie więc, według Orędownika, brali udział w pojawiającém się życiu narodowém, tylko z powodów nowości, a duszę i myśl swoję odziewali w szatę postępu tylko tak, jak ciało swoje w nowomodną suknię, która naturalnie za chwilę znów inną przybierze formę.

Ludzkość i *ludzki*, są to, według zdania Orędownika, dwa wyrażenia, jedno posiadające znaczenie; zdaje się żartować z pierwszéj, i tę najsilniejszą spojnią, łączącą całe plemie ludzkie w jedną przyjazną rodzinę, miesza z ludzkością, jaką gościowi naszemu ofiarujemy. Po takich szczytnych rozumowaniach, pomyślał razem Orędownik o swoich materyalnych interessach, o swéj drukarni i księgarni, a ich stan nie musi być najlepszy, albowiem gorzko się żali na brak czytających i kupujących, że dzieła nowego ani 500 nawet eksemplarzy wydrukować nie można. Niedawno czytaliśmy pod tym względem dobrze odmalowany stan prowincyi naszéj w Gazecie augsburskiéj, że wszyscy piszą, czytają, albo przynajmniéj książki kupują; sami widzimy z każdym dniem wznoszącą się ilość drukarń i księgarń w Poznaniu i po mniejszych miastach prowincyi, co nam nie dozwala wątpić o ruchu literackim. Jeżeli zaś drukarnia i księgarnia Orędownika nie zdołały sobie zjednać zaufania i z tego ogólnego ruchu żadnych nie odnoszą korzyści, nie jest to wcale winą publiczności. I rzeczywiście spodziewać się należało, że handlowe interessa Orędownika

(*) Artykuł ten tylko na życzenie autora był umieszczony. Redakcya bowiem Tygodnika raz na zawsze przedsięwzięła sobie, nie sprzeczać się z Orędownikiem — i nic dziwnego! Na zbicie wszystkich jego niedorzeczności, w jednym numerze znajdujących się, trzebaby wydawać pismo co dzień w 10. arkuszach wychodzące. Orędownik bije w to. Bo któż codzień 10 arkuszy napisze? Niemieckie przysłowie: Je toller, je besser, jest jego godłem.

w lepszym są stanie. Bo u nas w Poznaniu to samo się dzieje, co na Litwie z Panem Kraszewskim, Grabowskim i Tygodnikiem petersburskim. Co drukarnia Orędownika drukuje, porozsyła najprzód próbki Przyjaciel Ludu, a po wyjściu dzieła Orędownik pochwali.

Po takim wstępie przystępuje Orędownik do rozbioru szczegółowego pism nowo-wyszłych w Poznaniu, najprzód zaś do peryodycznych. Tu aby główny zamysł za gwałtownie nie bił w oczy, zakryty został i niejako oprawiony w ramy króciuchnego rozbioru wszystkich pism peryodycznych wychodzących w Poznańskiém; rozciąglejsze tylko rozbiory, poświęcone są Tygodnikowi literackiemu i Orędownikowi. Pomimowolnie westchnąłem, czytając ustęp o Tygodniku, bo w méj wyobraźni tak żywemi kolorami zarysował te najszczęśliwsze w życiu człowieka chwile, kiedym się sprzeczał i drażnił z towarzyszami méj najpierwszéj młodości. Swe zaś zasady Orędownik głównie w téj rozwija myśli: że od samego początku wyrzekł się wszelkiego sekciarstwa, nie wojuje z żadném stronnictwem, tylko zachęca *młodzież do pracy i do porządku*. Dla nas zdanie to jest trochę niezrozumiałe, a nawet dobrzeby było, gdyby Orędownik bliżéj je chciał objaśnić, albowiem nie wiemy do jakiego porządku młodzież zachęca, czy do porządku na ciele i w odzieży, czyli też do takiego, o jakim słyszeliśmy w Izbach francuskich: „porządek w Warszawie jest przywrócony.“ Nakoniec przystępuje do rozbioru dzieł historycznych, a tu znów najobszerniejszy artykuł poświęca Starożytnościom polskim. Nie myślę występować w obronie tego pisma, które Orędownikowi podobało się nazwać: pospolitém ruszeniem, na prędce ze wszystkich stron na jedno miejsce zgromadzoném, gdyż napróżnoby się ktoś silił stawać w obronie, lub potępiać bitwę, któréj złe lub dobre skutki każdy ma przed oczyma. Każdy jednak przyznać musi, że dzieło tego rodzaju, w najobszerniejszym, żadnemi formułami nie ścieśnionym zakresie, może być dla wszystkich nader pożyteczném. I choćby nawet było wyciągiem z wyciągów, ułatwia jednakże każdemu obeznanie się z żądanym przedmiotem. Tak jeografia, jak i literatura, są cząstki i ślady życia narodowego, a więc w Starożytnościach powinny mieć miejsce. Jeżeli zaś Redakcya Orędownika wgłębiała się w poszukiwania historyczne, musiała nie raz uczuć potrzebę, aby wiedzieć nie tylko położenie i nazwiska miast téj lub owéj okolicy, ale nawet wsi i innych, choćby najmniejszych, osad. Niesłuszny też więc zarzut Orędownika, aby umieszczać tylko te miejsca, które przez ważne wypadki się odznaczyły. Pomyłki są prawie nieuchronne w piśmie tego rodzaju. Gdyż łatwiéj choćby w kilko-tomowém dziele, mając myśl zwróconą ciągle na jeden przedmiot, przeprowadzać go systematycznie przez rozwijające się następstwa, aniżeli uwagę, rozstrzeloną na sto oddzielnych artykułów, zwrócić naraz na jedno miejsce. Dla tego Redakcya Starożytności z wdzięcznością by zapewne przyjęła podobne poprawki, które ktoś drugi w jéj piśmie dostrzeże, a te zamieszczone w zeszycie dodatkowym, wzbogaciłyby pismo i przyczyniłyby się do jego ulepszenia.

Wreszcie czegoż się Redakcya Starożytności po Orędowniku spodziewać mogła. Nagania on Tygodnik, iż u niego jest dzieło złe, gdy je napisze Rzewuski i Czartoryski; on zaś nie tylko wszystko potępia, co nie podziela jego zasad, ale nawet wszystkie pisma, które nie wychodzą z jego drukarni. Pierwszy poszyt pominął milczeniem, albowiem go drukarnia jego na świat wypuściła; teraz Starożytności nic nie są warte, albowiem z powodu nadzwyczajnie długiego druku, musiały się usunąć z téjże drukarni. Ztąd też sąd Orędownika choćby był i słusznym, niknie w przebijającéj się widocznie złośliwości i niechęci.

* *

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.